Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 32

I w Polsce – odrodzenie epiki!

Żyjemy w epoce wielkich przemian, wielkich przełomów, społecznych, kulturalnych, psychicznych. Przełomy te do niepoznania zmieniają oblicze świata: każdy, kto umie patrzeć bez względu na to, z jakiegoby założenia ideowego wychodził i pod jakim kątem na to, co się dzieje, patrzył — nie może nie przyznać, że przemiany te ogromem swym i donioslością przewyższają wszystko, co się w świecie stało w ciągu wielu, wielu stuleci, i bez przesady mogą być porównane do epoki wielkich wędrówek ludów na początku średniowiecza. Przemiany te pociągną za sobą i kompletne przeobrażenie oblicza sztuki, a więc i literatury pięknej. W jakim kierunku? Śmiało można powiedzieć, że w kierunku odrodzenia epiki.

Epika, ten najwspanialszy, najdostojniejszy, najpotężniejszy, najszersze horyzonty obejmujący i wszystkie inne rodzaje i formy artystyczne w siebie wchłaniający — rodzaj literacki nie jest mechanicznem dziełem zbiorowości, jak to jeszcze do niedawna nieraz przypuszczano, — ale dziełem wybitnych indywiduów twórczych, których myśli, pragnienia, wyobraźnia, ambicje i możliwości twórcze, których genjusz i sztuka jednem słowem — uderzają w rytm utajonych i nieświadomych nieraz pragnień, marzeń, ambicyj, woli i czynów wielkich zbiorowości ludzkich, których to zbiorowości duszą i odbiciem pięknem ich prawdy wewnętrznej jest właśnie sztuka epicka.

Tak ma się rzecz z Homerem z autorem trzonu głównego „Mahabharaty", z wielkim epikiem chrześcijaństwa i życia duszy, Dante, z nieznanym, ale niewątpliwie jednym twórcą „Niedoli Nibelungów", z Tassem, z twórcą „Pana Tadeusza" i z autorami „Wojny i pokoju" i „Trylogji".

Dziś, a jeszcze więcej jutro — w dobie upadku indywidualizmu, gdy punkt ciężkości kultury i rozwoju psychicznego ludzkości przenosi się z jednostki na zorganizowane wewnętrznie w myśl tej czy innej idei zbiorowości — sztuka, żeby żyć, musi uderzać w rytm życia tych zbiorowości. Tu tkwi główna tajemnica jutrzejszego triumfu epiki, lecz nie będzie to tylko triumf noworodzącej się, dzisiejszej czy jutrzejszej rzeczywistości, — będzie to też i zwycięstwo przeszłości, zwycięstwo nierozerwalnej ciągłości wszystkiego, co się dzieje w świecie, a przedewszystkiem w sztuce.

Epika bowiem jest tradycjonalistyczna, jak żaden inny rodzaj literacki, czy to w zakresie tradycyj środowiska, w którem się rodzi, a więc narodu, (jest bowiem zawsze najbardziej narodową ze wszystkich rodzajów sztuki), czy też w dziedzinie tradycyj artystycznych, uznających pewne niezmienne, niewzruszone, wiecznotrwałe wartości, które są dziś tak samo, jak za czasów Homera, warunkiem koniecznym zrobienia dzieła epickiego dziełem prawdziwej sztuki.

Toteż gdy uniwersalizm i upadek indywidualizmu w naszej epoce tłumaczy nam poniekąd to zjawisko, to z drugiej strony istota epiki, jako sztuki najbardziej narodowej i najsilniej związanej z tradycjami przeszłości, a przytem rodzaju literackiego, najbardziej konserwatywnego i uznającego wiecznotrwałość pewnych niewzruszonych form artystycznych, nie może nie wzbudzić w nas pewnego zdumienia, że renesans epiki w wieku XX-tym rozpoczyna się w środowisku, gdzie wprawdzie indywidualizm w zupełności jest podporządkowany zbiorowości, jej psychice, życiu i woli, ale gdzie też w stopniu najsilniejszym neguje się wszelką tradycję narodową i artystyczną, gdzie sztukę Jutra wszelkiemi sposobami usiłuje się oderwać od związku ze sztuką Wczoraj — w Rosji Sowieckiej!

Istotnie: epiką wraz ze swym silnym związkiem z wszelką tradycją artystyczną, ze swym silnym, choć często i nieuświadomionym instynktem narodowym, ze swą siłą, rozmachem, bujnością, barwnością, plastyką — a co szczególnie znamienne w środowisku, opętańczo opanowanem przez doktrynę — ze swym beznamiętnym spokojem i dążnością do bezstronności odradza się w ZSSR. — w epopeach, kozackich Michała Szołachowa i we wspaniałej powieści historycznej Aleksego Tołstoja „Piotr Pierwszy".

Czyżby więc znowu ex oriente lux? I to z takiego wschodu, skądby, zdawałoby się, żaden promień już nie mógł przyświecać naszemu, „burżuazyjnemu" światu?

Uspokójmy się. Bezsprzecznie, odrodzenie epiki w ZSSR. silny wywrze wpływ na literaturę światową, w szczególności zada cios tak zwanej literaturze „awangardowej", dążącej do zupełnego zerwania wszelkich związków z literaturą przeszłości i z wszelką tradycją literacką, „awangarda" bowiem wszystkich krajów zapatrzona była, jako we wzór najdoskonalszy, w przekreślającą wszystkie związki z dziedzictwem Wczoraj — literaturę sowiecką. Gdy zaś ta literatura zmieniła front i przynajmniej w dziedzinie formy nawraca do do tradycji, to nie trudnać zgadnąć, jaki los czeka „awangardy" pomniejsze...

U nas jednak w Polsce — i to narazie, zdaje się, tylko u nas — obejdzie się bez inicjatywy sowieckiej. Oto w ciągu ostatnich lat dwu ukazały się cztery powieści polskie, które wywołały duży ruch i ożywienie, w atmosferze zastoju, jaka cechuje naszę życie literackie. Trzy zpośród nich, to nieodrodne dzieci naszej epoki („Żółty krzyż" Struga, „Zazdrość i medycyna" Choromańskiego, „Mateusz Bigda" Juljusza Kaden-Bandrowskiego), — czwarta jednak rozpoczyna nowy rozdział w historji polskiej: rozpoczyna epokę odrodzenia epiki.

Powieścią tą jest cykl „Noce i dnie" Marji Dąbrowskiej, składający się z „Bogumiła i Barbary", „Wiecznego zmartwienia", „Miłości" (2 części) i tomu czwartego, który jeszcze się nie ukazał (nakładem Tow. Wydawniczego J. Mortkowicza w Warszawie).

Cykl ten powieściowy był wielkim sukcesem artystycznym i wydawniczym. Autorka otrzymała najwyższe polskie odznaczenie dla pisarza — państwową nagrodę literacką. O „Nocach i dniach" napisano już tysiące, a może już dziesiątki tysięcy wierszy, recenzyj, artykułów, wywiadów. Na tem więc miejscu zajmiemy się tą powieścią tylko jako pierwszą jaskółką bliskiego odrodzenia epiki, jako, być może, przedświtem nowego dnia literatury, w niczem niepodobnego do dni i nocy ostatnich, jako triumfem sugestywnej, wysoko artystycznej powieści narracyjnej, plastycznej triumfem — jednem słowem — przystosowanej do ostatnich wymagań sztuki powieściowej, tradycji beletrystycznej — nad wszelkiego rodzaju „awangardą" powieściopisarską.

Przedmiotem, tematem powieściowego eposu Dąbrowskiej jest życie społeczeństwa polskiego — ściślej mówiąc — średniego i drobnego ziemiaństwa z Królestwa w okresie między powstaniem 63-go roku, a rewolucją r. 1905-go. Przed czytelnikiem przesuwa się niezliczona ilość postaci, najrozmaitszych typów ludzkich, „robionych" niby tak, jak to się robiło w powieściach Balzaca, Dickensa, Orzeszkowej — w rzeczywistości jednak autorka posługuje się doskonałym, choć starannie ukrytym, aparatem psychologicznym, nawskroś powojennym, dzisiejszym, a że go nie ujawnia hałaśliwie, nie krzyczy urbi et orbi „Patrzcie, jak dobrze znam wszystkie tajniki sztuki nowoczesnej, jak świetnie niemi się posługuję!" —dowodem to nietylko wielkiego jej talentu i umiaru artystycznego, ale i prawdziwie poważnego stosunku do własnej twórczości: posługuje się ostatniemi zdobyczami psychologji, techniki pisarskiej czy socjologii w celu udoskonalenia swego dzieła, połączenia w nim tego, co wieczne, z tem, co dzisiejsze, najświeższe, a nie poto, by jej nowoczesność podziwiano.

Analogja z Orzeszkową, rzeczywiście, może narzucić się odrazu, ale podobieństwo między dwiema pisarkami polskiemi w dziedzinie powieści obyczajowej, psychologiczno-socjologicznej jest takie, jakie w zakresie beletrystyki egzotycznej zachodzi między Józefem Conradem, a Stevensonem...

Amatorzy literatury „awangardowej" zdefinjowali „Noce i dnie", jako „epopeę nudów"; rzeczywiście, gdy książkę tę bierzemy do ręki, z początku robi wrażenie monotonnej, rozwlekłej, nawet nudnej, lecz gdy „wejdzie się" w nią — porywa i pochłania, zmusza do życia w kole czynów, interesów, wzruszeń, uczuć jej bohaterów — jest pod tym względem w stu procentach podobna do „Komedji Ludzkiej" Balzaca, który z początku też nudzi, a nawet nuży, potem zaś pochłania i przykuwa do siebie.

Mimo pozornej rozwlekłości, stanowią „Noce i dnie" kompozycję zwartą, każdy obraz, każdy szczegół, każde słowo — są tam potrzebne, i choć niema w powieści żadnych telegraficznych skrótów ani sugestywnych syntez, tempo posiada wcale nie powolne, ale żywe, wciągające, przykuwające, porywające.

Epickość „Nocy i dni" to epickości najwyższej klasy, aż dziw, że w naszych czasach, w epoce liryzmu beletrystycznego, psychoanalityzmu, kinematografizmu etc., umie ktoś pisać tak doskonale po epicku. A co najważniesze, co podnosi jeszcze wartość niezwykłej harmonji wszystkich elementów — to fakt, że „Noce i dnie" są w dużej mierze utworem autobiograficznym, i to być może — najbardziej pasuje Dąbrowską na rasową autorkę epicką, że potrafiła uniknąć wszelkiego liryzmu, wszelkiego egotyzmu, że nawet elementy autobiograficzne traktowane są z takim samym niezmąconym beznamiętnym i bezstronnym spokojem, co i pierwiastki inne. Dąbrowska umie wszystko postawić na właściwej płaszczyźnie i na wszystko spoglądać z właściwego oddalenia; umiejętność to nie mała, szczególnie, gdy chodzi o momenty erotyczne.

Trudno w dzisiejszej literaturze pięknej znaleźć drugiego autora, a w szczególności autorkę, którаby umiała na właściwem miejscu postawić życie erotyczne dwojga ludzi, umiejscowić je należycie w całokształcie elementów, które się składają na życie rodzinne. Dla większości pisarzy dzisiejszych wspólne pożycie dwojga ludzi — to tylko „noce", Dąbrowska jednak widzi i noce, i dnie...

Potężny rozmach epicki autorki słabnie, gdy z koła zagadnień erotycznych, rodzinnych, psychologicznych - indywidualnych przenosi się na teren psychologji zbiorowej, na teren zagadnień zbiorowych — społecznych, politycznych. Przyczyna tkwi nie w talencie pisarskim Dąbrowskiej, ale w jej płci: nikt chyba nie uzna za antyfeminizm twierdzenia, że konstrukcja psychiczna i artystyczna kobiety znacznie lepiej się czuje i orjentuje w tajnikach, najgłębszych nieraz, życia wewnętrznego, w szczególności w sferze instynktów erotycznych i rodzicielskich, niż na szerokiej płaszczyźnie życia zewnętrznego, na terenie niesubtelnych bynajmniej, ale bardzo skomplikowanych stosunków życia zbiorowego.

Tem niemniej „Noce i dnie" przepojone są duchem epickości i niby w zbroję stalową, we wspaniałą, tradycyjną, od wieków niezmienną, a trudną — formę słowa i obrazu epickiego są zakute. — Weźmy choćby taki czysto zewnętrzny drobiazg: pierwsze zdań kilka ogromnego cyklu powieściowego i wogóle cały wstęp. Zwięzłe ,treściwe, niby suche, a w gruncie rzeczy żywe i barwne, idealnie narracyjne zapoznanie z rodziną Ostrzeńskich i jej losami — czyż nie przypomina początku „Niedoli Nibelungów"? — a już stanowczo wywołuje w pamięci skojarzenie z początkiem sienkiewiczowskeigo „Potopu": — Był na Żmudzi możny ród Billewiczów...

Renesans epiki polskiej rozpoczął się skromnie — od powieści obyczajowej, od malowania małej wsi szlacheckiej i ludzi naogół dosyć małych... Miejmy nadzieję, że stawać się będzie coraz śmielszy, że sięgać będzie po tematy coraz to większe, coraz to bardziej epickie... W Rosji Sowieckiej odrodzenie epiki zaczęło się od obrazu wsi kozackiej i jej życia, sięgnęło potem po temat walki społeczno-politycznej o kolektywizację wsi, potem poszło dalej — po epicki prawdziwie, chwilami bohaterski temat wojny domowej — wreszcie w „Piotrze I" roztoczyło wspaniały obraz najważniejszego momentu w dziejach Rosji — robienia z Azji — Europy!...

U nas czekają na swych epików powstanie listopadowe, epoka Zygmuntów i Batorego, wielki czyn „zbierania" rozdrobnionej Polski Piastowiczów, wreszcie dwie epoki tworzenia się państwa: z lat 1914—1920 i 960—1025.

Drogę epicy będą mieli już nietrudną: utorowały im ją triumfy Marji Dąbrowskiej.

TEODOR PARNICKI

Polska Misja Katolicka w Chinach

W czasach obecnych, gdy każdy dzień przynosi nowe wrażenia o wysokiem napięciu emocjonalnem, trudno wywołać odruch szczerego podziwu. Dzieła miłosierdzia, poświęcenia, nie znajdują już tak silnego echa, jak w czasach, gdy walka o chleb codzienny nie



Członkowie misji w Szuntehfu. W pierwszym rzędzie od lewej: ks. Cymbrowski, dr. Wielawski, ks. prefekt Krauze i. naczelnik stacji

wyczerpała wrażliwości na dolę czy niedolę drugich.

Przedmiotem wzbudzającym mój podziw, była Polska Misja Katolicka w Szuntefu, w Chinach.

Przed trzema laty wyruszyło z Polski, ze Zgromadzenia Misjonarzy w Krakowie, dwu księży, by po zaaklimatyzowaniu się i zapoznaniu z lokalnemi warunkami, założyć placówkę misyjną w Chinach. Równocześnie przybyło z Polski trzech kleryków, by po dokończeniu studjów teologicznych na Dalekim Wschodzie, powiększyć grono tutejszej placówki. W latach następnych przybywali grupami nowi misjonarze polscy.

Od dwu lat placówka objęła misję w Szuntefu, a od kilku miesięcy pracuje już samodzielnie. Prefekt jej, ksiądz Krauze, ma władzę biskupa. Ksiądz Krauze jest właśnie z tej pierwszej grupy, przybyłej do Chin przed trzema laty i on jeden posiada poprzednie doświadczenia misyjne, zdobyte w ciągu dziewięciu lat pracy w puszczy brazylijskiej. Obecnie pracuje w Szuntefu jedenastu księży, dwu braci zakonnych — Polaków i dwóch księży chińskich.

Centrala misji mieści się w Szuntefu, a w dużym okręgu prowincji Hopeh (czasem w promieniu 100 km.) rozsianych jest kilka mniejszych placówek. W samem Szuntefu przebywa czterech księży.

Wśród nich szczególną mą uwagę, jako lekarza, zwrócił ksiądz doktor Szuniewicz. Człowiek zbliżający się do pięćdziesiątki, świetny specjalista chorób ocznych i dziecięcych. Przed kilku laty porzucił pracę w klinikach w Polsce, mimo, że rokowała ona możliwości ponętnych stanowisk, odbył studja teologiczne i przyjechał na Daleki Wschód. Przybył do Chin i to właśnie do prowincji, gdzie jego talent wybitnego okulisty, znalazł olbrzymie pole do pracy. Dziś, z bajecznie małemi funduszami, funkcjonuje szpital oczny na 70 łóżek. Do pomocy przybyły z Warszawy Siostry Szarytki.

Praca w szpitalu trwa od wczesnego rana do późnego wieczora. Ksiądz Szuniewicz, jedyny lekarz w szpitalu, założył poza centralą przechodnie oczne, gdzie prostsze zabiegi lekarskie wykonują wyuczone przez ks. Szuniewicza, Siostry Szarytki i pomocnicy-sanitarjusze chińscy.

W samym szpitalu ksiądz-lekarz kształci zastęp młodych Chińczyków-chrześcijan w prostszych zabiegach okulistycznych.

Raz na tydzień, ksiądz-doktor objeżdża swe przychodnie w odległych placówkach. Nieraz ponad 100 km. przebywa na rowerze, po okropnych ścieżkach chińskich. Poza pracą lekarską, ks. Szuniewicz spełnia swe obowiązki kapłańskie.

By zilustrować pracę lekarską w misji, niech posłużą cyfry: Liczba zgłaszających się chorych w szpitalu i przychodniach wynosi około 500 osób dziennie!! Ciężkich operacyj ocznych, jak katarakta, jaskra itd., dokonano w roku ubiegłym 400!! Cyfry te w tym roku będą napewno wyższe, gdyż ilość chorych dochodzących stale wzrasta, równolegle z szerzącą się sławą wybitnego specjalisty, księdza Polaka.

Trudno nawet pojąć możliwości techniczne tego wielkiego dzieła, jeśli się zważy dotkliwy brak funduszów. Ksiądz Szuniewicz długo musi się namyślać, nim zadecyduje kupno nowego noża operacyjnego. Posiadanie lepszego instrumentarjum lekarskiego mogłoby ułatwić pracę i ulżyć wielu cierpieniom. W części wspiera misję chętna pomoc sfer kościelnych w Polsce. Ale tak mało znanem jest ogółowi, ciche, wielkie dzieło, dokonywujące się tysiące kilometrów zdala od ojczystego kraju.

Poza pracą misyjną i lekarską odbywa się w Szuntefu nauka w licznych szkołach misyjnych. Nieuleczalni ślepi mają tu też schronienie. Siostry Szarytki utrzymują żłóbek dla niemowląt, przebywa w nim przeszło stu małych Chińczyków.



Przyjazd siostry Szarytki do przychodni szpitalnej



Misja w Szuntehfu (Ogólny widok)

Gdy ksiądz Szuniewicz wchodzi do szpitalnej sali, rozbrzmiewa chór głosów chińskich: „Dzień dobry księdzu".

Nie wiele upłynie czasu, a w północnych Chinach będzie głośno o kraju, skąd przyszli ci dzielni misjonarze.

Nankin, w czerwcu 1934.

J. Wielawski
Dr. Med.



W taki sposób zwozi się podrzutki do „żłóbka" w Szuntehfu

Teatr w Sowietach

Rząd sowiecki oddawna już zdaje sobie doskonale sprawę, jak doniosłą jest rola teatru, jako czynnika wychowawczego i propagandowego. Teatr w Sowietach przestał być lekką rozrywką, stając się warsztatem, w którym urabia się mentalność i nowy światopogląd dzisiejszego widza.

Cyfra 331 teatrów egzystujących obecnie na terenie Sowietów mówi sama za siebie. Obok teatrów stołecznych z takimi reżyserami jak Meyerhold, Stanisławskij czy Tairow, — teatry prowincjonalne, rozrzucone na olbrzymiej przestrzeni od Morza Białego i Sachalinu do Ukrainy i Krymu, — specjalne teatry dla młodzieży, — i wreszcie „brygady" teatralne, zorganizowane na wzór włoskich trup objazdowych (Carro di Tespi), obsługujące najdalej położone kolchozy i nowo powstające centra przemysłowe.

Jaki jest poziom przedstawień teatralnych? Różni się on o całe niebo od tego, co było przed dziesięciu czy pięttnastu laty. Przedewszystkiem czasy dyletantyzmu minęły, zdaje się, bezpowrotnie, — taksamo, jak zniknął dawny typ „bohemy" aktorskiej, przesadnie zarozumiałej, markującej nonszalancją i tupetem pustkę wewnętrzną.

Dzisiejszy aktor (nierzadko wychowany w atmosferze rewolucji i w ogniu krwawych walk) uważa zawód swój jako trudną i odpowiedzialną pracę nietylko kulturalną, ale, i to przedewszystkiem nawet, społeczną. Na scenę idzie odpowiednio przygotowany i wyszkolony na specjalnych kursach, gdzie zapoznaje się z zasadami djalektyki, filozofji sztuki i z najnowszemi zdobyczami i pradami sztuki teatralnej. Zespół teatralny przestał być szarą masą: teatr sowiecki daje dziś artyście szerokie pole do wybicia się, do podkreślenia własnej indywidualności.

Zwiększyły się też odpowiednio wymagania publiczności, która w teatrze szuka nietylko artystycznego zadowolenia, ale i odpowiedzi na rozliczne zagadnienia społeczne, żąda kontaktu z życiem rzeczywistem. Hasło „sztuka dla sztuki" straciło swój właściwy sens i walor.

Nie znaczy to bynajmniej, jakoby repertuar scen sowieckich zamykał się w ciasnym kręgu sztuk agitacyjnych i propagandowych, jakkolwiek ten właśnie rodzaj twórczości dramatycznej zajmuje zawsze jeszcze dominujące i uprzywilejowane stanowisko. Wielkiem powodzeniem cieszyły się tedy w ostatnim sezonie sztuki o wyraźnej tendencji politycznej, jak „Pociąg pancerny", „Chleb", „Trwoga", jak wreszcie udramatyzowana powieść Katajewa „Naprzód czasie", rodzaj apoteozy sowieckiego „wyścigu pracy".

Wystawia się dramatyczne epizody z okresu rewolucji, jak „Mścisław Udałoj" (bunt czerwonych marynarzy na pancerniku), „Debacle", lub „Marynarze z Cattaro". Zdarzenia i epizody z niedawnej przeszłości naświetlone w nich są pod kątem widzenia dnia dzisiejszego, opisane z wstrząsającym realizmem, a wyreżyserowane bardzo starannie i pomysłowo, wywołują silne wrażenie.

Celom propagandowym służą też sztuki obrazujące stosunki społeczne na Zachodzie, sztuki naogół słabsze, grzeszące zbytniem przejaskrawieniem.

Równolegle z tem jednak obserwuje się nawrót do klasyków: wystawia się z ogromnem powodzeniem „Martwe dusze" Gogola, sztuki Ostrowskiego, Uspenskiego, Sałtykowa - Szczedrina, Suchowo - Kobylina, no i naturalnie Gorkiego, owego klasycznego przedstawiciela „socjalistycznego realizmu".

Szekspir oddawna już należy do najulubieńszych autorów; obok niego wystawił „Mały Teatr" szylerowskiego „Don Carlosa", ostatnio zaś Meyerhold wystąpił z „Damą Kameljową" w zupełnie nowej i bardzo oryginalnej inscenizacji.

Ciekawym eksperymentem będzie wystawienie w Teatrze Kameralnym „Antonjusza i Kleopatry", zręcznej kompilacji fragmentów z „Cezara i Kleopatry" B. Shawa oraz z „Egipskich Nocy" Puszkina.

W stosunku do klasyków ostatnie lata przyniosły zasadniczą zmianę: Dziś nie „dopasowuje się" już dramatów klasycznych do ideologji obecnej, nie wypacza się bezceremonjalnie tekstu, nie fabrykuje zakończenia „ad usum Delphini". I owszem, reżyserja traktuje te arcydzieła z całym należytym pietyzmem, podkreślając tylko zręcznie odpowiednie sceny i wydobywając przez odpowiednią inscenizację pożądane efekty. Jest to robota subtelna i misterna, tak misterna, że dla szerszej publiczności niemal niedostrzegalna.

Wspomnieć wreszcie należy o teatrach dla młodzieży, których w samej Moskwie istnieje ośm, — a które posiadają duże znaczenie pedagogiczne. Teatry te stanowią coś pośredniego między sceną zawodową a teatrzykiem amatorskim, wciągając młodych widzów bezpośrednio w akcję sztuki, wywołując żywą dyskusję, wymianę zdań i krytykę, utrzymując w nieustannym kontakcie teatr z młodocianą publicznością.

Krótki ten szkic pozwala nam zorjentować się co do znaczenia teatru w Sowietach, jako instytucji kulturalno-politycznej, jako bardzo cennego i skutecznego narzędzia propagandy prowadzonej na terenie sztuki. **(kr.)**

Edgar Dégas - malarz brzydoty

(W stulecie urodzin - 19 lipca 1834)

W Galerji luksemburskiej w Paryżu, wśród licznych innych arcydzieł, wisi słynny obraz pastelowy Edgara Degasa „Tancerka". Obraz, powszechnie znany, a uchodzący za jedno z najlepszych dzieł wielkiego malarza, mistrza barw i ruchu.

Ale nie najbardziej charakterystyczny dla jego twórczości. Gdy bowiem w obrazie tym daje nam Degas przepiękną wizję tańca, gdy ciało tancerki faluje miękko i harmonijnie w rytm muzyki, gdy — jednem słowem — mamy przed oczyma apoteozę wdzięku, piękna i harmonji, to w olbrzymiej większości swych prac Degas jest raczej „malarzem brzydoty ludzkiej", jak go nazywali współcześni.

* * *

Twórczość E. Degasa podzielić można na kilka odrębnych cykli. Przejęty początkowo duchem klasycyzmu, zapalony wielbiciel Ingres'a, zaczyna swą karjerę artystyczną od studjowania i kopjowania na, Lawrence'a, wykształcenie swe uzuna, aLwrence'a, wykształcenie swe uzupełnia podróżami do Włoch i do Ameryki. Po powrocie rzuca się do pracy twórczej; wystawia pierwsze swe dzieła w salonie impresjonistów. Dzieła te przechodzą bez silniejszego wrażenia, publiczność przyjmuje je z lekceważącą obojętnością lub z drwinami.

Zrażony tem, Degas zamyka się w sobie, staje się prawie odludkiem. Ale nie zniechęca się do dalszej pracy, i owszem, pracuje tem intensywniej. Otrząsa się szybko z wszelkich wpływów i manjer i poczyna iść własną drogą.

Już w pierwszym cyklu swych prac daje się poznać jako duży i oryginalny talent. Jego liczne szkice i obrazy z pola wyścigowego, czy to będą konie, czy dżokeje, odznaczają się życiem i brawurą. Niema w nich nic z tych stereotypowych angielskich sztychów, niema zdawkowego romantyzmu; jest natomiast świetny rysunek i mistrzowskie operowanie kolorami. Jest wreszcie uchwycenie życia i ruchu.

* * *

Bo właśnie ta pasja chwytania na gorąco każdego ruchu i giestu stanowi charakterystyczną cechę talentu Degasa. Nie wystarcza mu już pole wyścigowe. Jak każdy prawdziwy, wielki artysta kieruje swe zainteresowanie do studjów ciała ludzkiego. I powstają jego najlepsze najbardziej charakterystyczne cykle obrazów, do których tematów szuka za kulisami teatrów czy cyrków, to znów wśród praczek i prasowaczek, lub wreszcie w toaletach kobiecych.

Zarzuca niemal zupełnie ołówek i farby olejne, przechodząc do pasteli, z pomocą których wydobywa nowe zupełnie, niedoścignione w swym artyźmie, efekty barwne.

W cyklach tych, czy to będą „Tancerki", czy „Praczki", czy „Kobiety przy toalecie" staje się Degas malarzem nawskróś realistycznym, aż brutalnym w swej szczerości. Jego tancerki, to nie wyidealizowane wiotkie sylfidy, wykonujące z czarującym uśmiechem swe ewolucje, lecz dziewczyny biedne, wymęczone swą ciężką pracą, nie „kapłanki", lecz niewolnice swej sztuki. Smutek wieje z tych obrazów, smutek beznadziejny i bolesna, gorzka ironja. A wrażenie jest tem silniejsze, że Degas lubuje się w sztucznem oświetleniu rampy, deformującem normalną sylwetkę.

Toż samo obserwujemy w jego licznych studjach ciała kobiecego. Degas pokazuje nam kobiety przy swej porannej toalecie, koncentrując całą uwagę na samym modelu, odrzucając wszelkie niemal akcesorja, tak chętnie i wydatnie stosowane przez innych malarzy.

Studja te obrażały zasadnicze kanony antycznej estetyki, nakazującej odtwarzać jedynie piękno ciała kobiecego i jego harmonję. Z drobiazgowym, okrutnym niemal realizmem kopjuje Degas wszelkie deformacje ciała kobiecego, powstałe czy to skutkiem naturalnych okoliczności, czy skutkiem narzuconych przez społeczeństwo warunków i trybu życia. Jego studja kobiece mają w sobie coś chorobliwego, przypominają poematy Baudelaire'a. Ale są równocześnie najlepszym i najwierniejszym wizerunkiem współczesnej kobiety.

Są też najwspanialszem świadectwem jego wyjątkowego, wielkiego talentu, który zjednał mu uznanie już u współczesnych, a nazwisko jego zapisane zostało złotemi głoskami w historji francuskiego malarstwa. (R.)



E. Dégas: „Praczki"



E. Dégas: „Tancerka"

„Baszta prochowa" we Lwowie

Czterysta już blisko lat dźwiga na swych potężnych ongi barach, baszta, co piersią swą odpierała oblężenia tatarskie, ruskie, tureckie w latach 1648, 1655 i 1672, jedyna dziś pozostałość z dawnych, lwowskich fortyfikacyj miejskich, „in qua pulvis nitratus Reipublicae deponebatur".

Baszta prochowa...

Wiele burz dziejowych przeszło nad nią i miastem, którego broniła; wiele widziała, wiele przeżyła, a jednak przetrwała do dni dzisiejszych, gdy z innych zabytków świetnej przeszłości Lwowa ni śladu nie zostało. Ale bo też została wybudowana z tym samym monumentalnym zmysłem, który w porównaniu do dzisiejszego, tak wybitnie cechował dawne lwowskie budownictwo. Wybudowało ją mieszczaństwo lwowskie w latach 1554 — 1556 dla celów obrony miasta. I była naprawdę obronna: materjału do budowy dostarczył stary arsenał, który równocześnie rozbierano, wznosząc na jego miejsce nowy;[1]) same mury niezwykłej grubości murowane były w ten sposób, że kamień zalewany wapnem utworzył prawdziwą opokę, wprost nie do rozbicia. Powstał budynek dwupiętrowy na zewnętrznym wale[2]) Troje żelaznych drzwi prowadziło do wnętrza, podzielonego na komory i urządzonego w trzech kondygnacjach za pomocą 59 olbrzymich tramów, które w najlepszym stanie dochowały się do dziś.

Baszta prochowa, obok swego fortyfikacyjnego charakteru miała główne przeznaczenie jako **magazyn materjałów wojennych** a w czasach pokojowych... jako spichlerz. Poprostu za pewną opłatą odnajmowano lwowskim kupcom poszczególne komory na przechowywanie żyta, krup, grochu, jagieł, z czego największą uciechę i pożytek miały „lwowskie wróble, tak, że musiano wkońcu zakładać w oknach „kratki druciane, żeby ptaki nie szkodzili". Gdy jednak nadchodziła zawierucha wojenna, znikał z baszty, groch i jagły, a **okna strzelnicowe jeżyły się paszczami armat i muszkietów**. Był to bowiem punkt bardzo ważny pod względem strategicznym, gdyż działa jego ostrzeliwały ogniem ukośnym i frontowym całą przestrzeń od Wysokiego Zamku aż po szlak Łyczakowski. Tu też sromotnie rozbijały się najzacieętsze ataki przeciwnika, czy był nim **Chmielnicki z Tuhajbejem**, czy moskiewski generał **Buturlin**, czy z dalekiej przybyły Porty, **Kapudan basza**. Słabo zaopatrzona w broń i załogę uległa baszta prochowa dopiero w r. 1704 w czasie najazdu szwedzkiego **Karola XII**. Spłonął wtedy nad nią dach gontowy, a wnętrze zostało mocno zdezelowane. Zrestaurowało ją na nowo miasto kosztem 4758 złp. w roku 1766; tuż przed pierwszym rozbiorem Polski przemieszkiwali w baszcie prochowej generałowie moskiewscy, konsystujący we Lwowie. W roku 1772 basztę zajął rząd austrjacki, któremu służyła początkowo na skład saletry, potem na magazyn mudurów wojskowych. U schyłku XIX wieku ten „ostatni świadek i pomnik rycerskiej przeszłości lwowskiego mieszczaństwa" miał ulec zagładzie — z powodu niezbyt c. k. austrjacko-koszarowego wyglądu. Uratował basztę ówczesny konserwator starożytnych zabytków Lwowa **Władysław Łoziński**, który założył stanowcze veto przeciwko burzeniu przesławnego szczątka dawnych fortyfikacyj miejskich. Łoziński sprawę wygrał, baszta drogą kupna w r. 1895-tym z powrotem przeszła w posiadanie miasta.

I wtedy to wyłoniła się **myśl zaadaptowania baszty prochowej** na pomieszczenie wspaniałych miejskich archiwalnych zbiorów, umieszczonych prowizorycznie w gmachu ratusza. Ówczesny prezydent miasta śp. **Mochnacki** polecił sporządzenie i wykonanie odnośnych planów architektowi Łużeckiemu, który wykonał dwa projekty, może niezbyt ładne ani pod względem stylowym oryginalne, zasługujące jednak na uwagę jako dowód, że baszta prochowa nadaje się całkowicie do celów adaptacji. Trzeci projekt był dziełem inż. **Mokłowskiego**, który utrzymał w głównych zarysach starą strukturę baszty, zachowując jej pierwotny charakter i przeznaczenie fortyfikacyjne. Niestety po ustąpieniu śp. Mochnackiego **plany te poszły w zapomnienie** i na przechowanie do archiwum. Basztę pozostawiono jej losowi, archiwum zostało po staremu w ciasnem i pod każdym prawie względem nieodpowiedniem dla siebie pomieszczeniu.

Nie pomógł „Memorjał" kilkunastu najwybitniejszych uczonych lwowskich, skierowany w r. 1905 do ówczesnej rady miejskiej. W ciemności, ciasnocie — jak powiada „Memorjał" spoczywają takie

---

[1]) Franciszek Jaworski: Baszta prochowa i archiwum miejskie, Lwów 1905.

[2]) późniejsze Wały Gubernatorskie.

bogactwa jak: przeszło 800 dyplomów pergaminowych **od r. 1234**, po większej części królewskich, pierwszorzędne źródła do dziejów wcielenia Lwowa do Polski **od r. 1356**, nieprzerwany szereg ksiąg radzieckich, sądowych i administracyjnych od r. 1832, ksiąg rachunkowych **od r. 1404**, listy historycznej wartości, wyżej trzech tysięcy, w tem królewskie od **Aleksandra Jagiellończyka i Zygmunta Starego**, ościennych monarchów, **sułtana Mahometa IV**, czy hospodarów wołoskich, czy Karola XII., seciny listów prawie wszystkich w Rzeczypospolitej wybitnych — **Zamojskiego, Czarnieckiego, Koniecpolskiego, Sobieskiego, Sieniawskiego;** jest tam olbrzymia korespondencja szlachty i miast polskich, są **listy Chmielnickiego**. A do wewnętrznego życia Lwowa, miast, kresowego życia i kresowej walki, do historji prawa, ustroju politycznego, administracyjnego, władz i urzędów, narodowości, religijności i obrządków, cywilizacji, asymilacji, ekonomicznego życia — tysiące fascykułów, dokumentów i aktów. „**Skarbnica nieprzebrana**, jak zbiory nazwał śp. prez. Rutowski, **do historji rodów, ludzi, wszystkich objawów społecznego życia.**"

Obecnie bogate te zbiory, jak już donosiliśmy, mają być przeniesione do budynku biura kablowego przy ul. Czarnieckiego po wybudowaniu biur M. Z. E. przy ul. Pełczyńskiej. Po odpowiedniej architektonicznej przeróbce biura kablowego zbiory znalazłyby tam dla siebie odpowiednie pomieszczenie. Pozostaje więc sprawa baszty prochowej. Projekty jej przeróbki na archiwum miejskie upadły głównie zpowodu ogromnych związanych z tem kosztów a także i niezwykle silnego wzrostu zbiorów miejskich, dla których baszta, mimo iż jej parter i duże kondygnacje tworzą **ogromną salę o 16 metrach długości a 13 szerokości**, byłaby dziś pomieszczeniem niewystarczającem.

W r. 1925 zrodził się w związku z tem projekt utworzenia w baszcie **lapidarjum** z szczątków starej architektury i ornamentyki lwowskiej, pochodzących z rozebranych starych kamienic lub znalezionych przy robotach ziemnych. W tym celu **śp. prez. Neumann** rozpoczął restaurowanie baszty. Odnowiono dach i wznowiono częściowo mury i fundamenty. Roboty te niezbyt zresztą szczęśliwie przeprowadzane przerwano z ustąpieniem prez. Neumanna i baszta dalej stoi opuszczona — napół chyląca się ku upadkowi rudera.


Baszta prochowa w obecnym stanie

W ostatnich czasach zainteresował się basztą prochową śp. **prof. Obmiński**, który rzucił projekt dokładnego odrestaurowania całego zabytku **z zachowaniem wszakże jego dawnego charakteru wojennego.** We wnętrzu przywróconoby dawny podział na trzy kondygacje, z których każda byłaby przeznaczona na umieszczenie jakiejś dioramy (jak wiadomo, **Lwów posiada wspaniałą dioramę**, przedstawiającą jego wygląd przed r. 1772 w porównaniu z obecnym wyglądem. Nadto w zbiorach miejskich spoczywa w skrzyniach od 1910 r. **diorama bitwy grunwaldzkiej**, dzieło Zygmunta Rozwadowskiego, które w wspomnianym roku było wystawione w Krakowie w „rondlu" bramy Florjańskiej.

Projekt śp. prof. Obmińskiego zasługuje w całej pełni na jaknajszybsze zrealizowanie, przez co **miastu przybyłaby nowa, pierwszorzędna** atrakcja. Czas już najwyższy, aby ten historyczny zabytek, stojący ciągle jakby straszydło w stanie napół ruiny **przestał oszpecać najpiękniejszy zakątek Lwowa.** Niewielkim kosztem może stać się przecież prawdziwą i cenną jego ozdobą a przestanie być wyrzutem sumienia administracji miejskiej, że z ostatnią z dawnych, sławą owianych baszt tak po macoszemu się obchodzi. Sądzimy, że p. **dyr. Antoni Olszewski**, który tyle okazał energji przy odsłanianiu i ratowaniu starej lwowskiej architektury podobną opieką otoczy i ten zabytek ze wszech miar godny umiejętnej restauracji i konserwacji.

t. u.

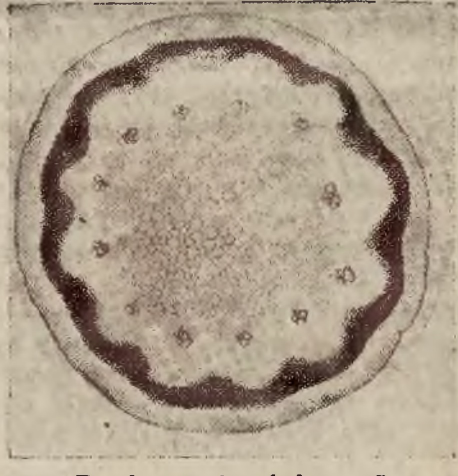
Natura mistrzem człowieka

Człowiek, uważający się za „pana wszelkiego stworzenia", lubi szczycić się swemi rozlicznemi wynalazkami, ułatwiającemi mu życie. Przyznaje się chętnie od ich ojcostwa, zabezpiecza się różnemi patentami przed naśladownictwem...

Czy jednak jest tak w rzeczywistości? Zbyt łatwo zapominamy o innym wielkim wynalazcy, który swych niezliczonych kreacyj nie chroni żadnym patentem, który pozwala się kopjować bez słowa protestu, — o wynalazcy, który wszystko przewidział na długo przed nami, — a którego my tylko naśladujemy, jakże do tego nieudolnie!

Tym wielkim, najstarszym wynalazcą jest Natura. Ona to dała nam tysiące i miljony wzorów we wszystkich dziedzinach naszego życia. Ona to dała nam cudowne wzory i formy artystyczne, spotykane na każdym kroku zarówno w świecie organicznym jak i nieorganicznym.

Wystarczy rzucić okiem na rozmaite mikroskopijne niemal żyjątka, znajdowane w głębinach morza, na te t. zw. radiolaria, których misterne, artystyczne wręcz formy, oglądane pod mikroskopem przypominają najkunsztowniejsze arcydzieła jakiegoś Benvenuta Celliniego. Wystarczy spojrzeć na symetrycznie uszeregowane kolce kaktusów lub na przekrój pnia drzewa zwanego „fajkowcem", — czy wreszcie na zdradliwe pułapki, — owe zamykane „kufelki" egzotycznej rośliny owadożernej „Nephentes", aby zdać sobie sprawę, w jak


Przekrój pnia „fajkowca"

szerokim stopniu człowiek korzystał od wieków z tych żywych wzorów w swej twórczości.

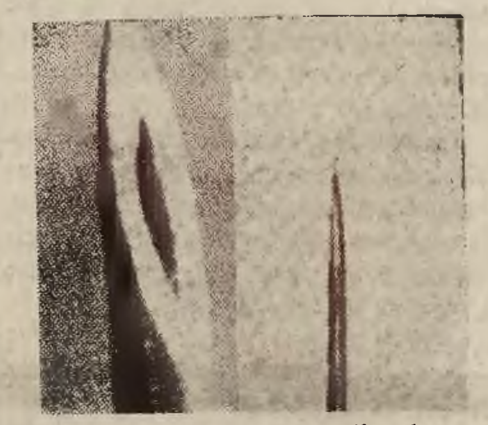
Ale zainteresowanie ludzkie szło nietylko w kierunku artystycznym, lecz również — i przedewszystkiem — w kierunku utylitarnym. I na tem polu natura była mu nauczycielem.

Rzućmy okiem na delikatną sieć pająka. Czyż nie jest ona prototypem naszych sieci rybackich? A stery przy łodziach, czyż nie są naśladownictwem ogonu ryby? Nawet zwyczajny lep na muchy przypomina nam kameleona lub mrówkojada z ich wąskim językiem nasyconym gęstą, lepką cieczą.

Analogie spotykamy na każdym kroku, z tą jednak różnicą, że człowiek zawsze naśladuje tylko urządzenia, istniejące w świecie fauny i flory od niepamiętnych czasów, — i to urządzenia znacznie subtelniejsze i doskonalsze.

Weźmy znowu mikroskop do pomocy: Znana powszechnie tzw. strzykawka Pravatza wydaje nam się szczytem techniki i subtelnej mechaniki. W powiększeniu stokrotnem jednak, w porównaniu z żądłem muchy tse-tse lub komara, swego pra-wzoru, wydaje się instrumentem niemal prymitywnym, grubym, niezdarnie wykonanym.

Takasama olbrzymia różnica zachodzi między końcem najcieńszej igły, a włoskiem parzącej zwykłej pokrzywy, kilkadziesiąt razy cieńszym, a niesłychanie ostro zakończonym.


Strzykawka Pravatza i żądło komara w powiększeniu stokrotnem

Drucik żarówki elektrycznej nie wytrzymuje żadnego porównania z cieniutką nitką pajęczą; najbardziej precyzyjnie wykonany pilnik pod mikroskopem nie wytrzymuje porównania ze szczęką pijawki, zaopatrzoną w szereg miniaturowych, ostrych „ząbków", któremi przegryza skórę.

Przykładów możnaby cytować bez liku. Wszystkie one mówią jedno: genjusz wynalazczy człowieka jest zaledwie słabą imitacją ntury. A im bardziej zbliżamy się do natury, im dokładniej obserwujemy tę niewyczerpaną różnorodność form i przedziwnych, celowych urządzeń, tem bardziej chylimy czoła przed Stwórcą świata i Jego dziełem. (R.)


Radiolaria (wedle rysunków prof. Haeckla)

Żelbeton

Wynalazek żelbetonu skierował całe budownictwo współczesne na nowe tory, otwierając mu szereg nieznanych dotychczas i nieprzeczuwanych możliwości. Dziś stał się żelbeton materjałem wręcz niezbędnym, nie dającym się niczem zastąpić.

A stało się to w krótkim stosunkowo okresie czasu, ostatnich pięćdziesięciu lat. Jak to bywa zazwyczaj z każdym wynalazkiem, tak i w danym wypadku wynalazek ten nie przyszedł niespodzianie, z dnia na dzień, — lecz był owocem podejmowanych wielokrotnie już poprzednio prób i studjów.

Już w roku 1854 zgłaszają pierwsze patenty architekt angielski T. Tyermann i inżynier francuski Lambot. Ten ostatni konstruuje rodzaj gęstej żelaznej kraty, wzmocnionej zaprawą cementową.

W tym samym kierunku idą nastepnie próby podejmowane przez innych konstruktorów, próby oparte raczej na intuicji i praktycznych doświadczeniach, niż na ściśle fachowej kalkulacji z uwzględnieniem zasad mechaniki, trakcji i t. p.

Te ostatnie zagadnienia stały się przedmiotem gruntownych studjów, jakie podjął austrjacki inżynier Weiss, który w roku 1887 opublikował wyniki swych badań, podkreślając wielkie zalety cementu w połączeniu z żelazem, jako materjału budowlanego.

Właściwym jednak wynalazcą żelbetonu był Francuz, Franciszek Hennebique, który w konstrukcjach swych zaczął zamiast czystego cementu stosować beton. Pierwszą próbę tego rodzaju podjął Hennebique w Lombartzyde, w Belgji, gdzie budował elegancką willę dla wydawcy i redaktora dziennika „Etoile belge". Szło tam między innemi o zbudowanie podłóg i sufitów z materjału niepalnego. Hennebique użył do tego celu belek odlewanych z betonu, a wzmocnionych wewnątrz żelaznemi prętami. Próba wypadła nadspodziewanie pomyślnie. Hennebique opatentował swój wynalazek w roku 1892 i założył w Paryżu wielkie, do dziś dnia istniejące przedsiębiorstwo we własnym gmachu zbudowanym z [illegible]. Był to pierwszy tego rodzaju budynek wystawiony w Paryżu.

„System Hennebique" znalazł wkrótce szersze zastosowanie: już na światowej wystawie paryskiej w roku 1900 [illegible] się cały szereg pawilonów i rozmaitych budowli żelbetonowych.

[illegible] przyszły coraz śmielsze konstrukcje, torując drogę kilkudziesięciopiętrowym drapaczom chmur, których powstanie byłoby niemożliwą do zrealizowania mrzonką, gdyby nie było żelbetonu. (k. r.)

Co to jest „B. B. C."

Najlepsza stacja radjowa w Europie

Radjo — to temat nigdy niewyczerpany do dyskusji. „Quot capita, — tot census", możnaby śmiało powiedzieć. Zapytajmy o zdanie którą gwiazdę z Hollywood, — a napewno określi ona radjo jako jeden z najsilniejszych argumentów w procesie rozwodowym z powodu „nieludzkiego znęcania się i katuszy moralnych"...

„Naród wybrany" nie może znieść radja niemieckiego. Jeden zachwycać się będzie głosem speakerki, inny dostanie choroby nerwowej, słuchając przeraźliwych świstów i szmerów w swym głośniku.

Jeżeli jednak zapytamy prawdziwego radjo - amatora, takiego „radjo - man jaka", co to potrafi przez pół dnia sterczeć przy swym aparacie i „łapać" stacje zagraniczne, jaka stacja jest najlepsza w Europie, — każdy odpowie bez wahania: radjo angielskie.

I będzie miał zupełną rację.

* * *

Czem wytłumaczyć tę pochlebną opinję, jaką zdobyło sobie radjo angielskie? Wpłynęły na to dwie rzeczy: staranny dobór programów, stojących na możliwie najwyższym poziomie, — i zupełnie wyeliminowanie z radja wszelkiej reklamy.

W początkach swych około roku 1922 radjo angielskie było przedsiębiorstwem prywatnem, a założyciele nie szczędzili ofiar, w przekonaniu, że w krótkim czasie radjo stanie się instytucją wręcz niezbędną w życiu codziennem. W roku 1927 dekretem królewskim stworzoną została „British Broadcasting Corporation", (zwana krótko B. B. C.) instytucja publiczna, pozostająca pod kontrolą rządu. Kontrola ta ograniczała się zresztą do czuwania nad tem, by radjo w programach swych szło po linji wytycznej, zgodnej z zasadami i postulatami wychowania narodowego. Poza tem — zupełna autonomja zarówno administracyjna jak i artystyczna.

Strona finansowa rozstrzygniętą została w sposób możliwie najrozsądniejszy, w porozumieniu z angielskiem ministerstwem poczt: z ustanowionej przez rząd opłaty za abonament radjowy, w kwocie 10 szylingów rocznie, przypada 4 szylingi i 7 pensów na rzecz B. B. C.

A skoro uprzytomnimy sobie że liczba radjo - abonentów z 600 tysięcy w styczniu 1924 doszła do 6 miljonów w styczniu 1934, — zobaczymy, jakie olbrzymie sumy ma B. B. C. corocznie do dyspozycji na przygotowanie programów i udoskonalenia techniczne.

* * *

Gmach londyńskiej B. B. C. sprawia wrażenie imponujące. Mieści on niemniej, jak 35 „studja", w tem 5 na słuchowiska, 4 na odczyty, 4 na „efekty sceniczne", ogromną salę na koncerty, a nawet własną kaplicę „z której transmituje się nabożeństwa. Personel przekracza tysiąc osób, a obejmuje, wszystkie możliwe dziedziny, od techników i inżynierów począwszy, do artystów, literatów i polityków włącznie.

Jak wyglądają programy radjowe, nadawane co dnia od 10 rano do północy bez przerwy? Zasadniczo istnieją dwa programy nadawane na przemian: „National" i „Regional".

W roku 1933 ogólna ilość audycyj obejmowała 8578 godzin. Na tej przestrzeni czasu nadane zostało: audycyj muzycznych 6037 godzin, odczytów i wykładów 1417 godzin, audycje religijne 366 godzin, audycje dla młodzieży 463 godziny, słuchowiska 146 godzin, transmisje okolicznościowe 34 godziny, — i wreszcie telewizja (eksperymentalnie) 111 godzin.

Co się tyczy audycyj muzycznych zaznaczyć należy, że muzyka z płyt gramofonowych stanowi zaledwie 10 procent tych audycyj, reszta wypełniły produkcje własnej orkiestry, liczącej 118 muzyków, oraz produkcje chórów i orkiestr prowincjonalnych.

Prelekcje wygłaszają najlepsi znawcy danego przedmiotu, doskonale honorowani. Mają do mikrofonu dostęp wszystkie stronnictwa polityczne, zgodnie z wiekową tradycją Anglii, gdzie każdy może przemawiać z zaimprowizowanej trybuny i otwarcie wypowiadać swe zdanie. Ten moment uwzględnia też i B.B.C. w bardzo szerokich ramach, — i to jest również jednym z powodów jego popularności.

Na jeden jeszcze szczegół warto zwrócić uwagę: wychodząc ze słusznego założenia, że zadaniem radja jest kształcenie gustu słuchaczy, angielska B.B.C. zarówno w audycjach muzycznych, jak w słuchowiskach nic schodzi nigdy poniżej pewnego, dość wysokiego poziomu intelektualnego. I choć prasa brukowa niejednokrotnie przypuszcza z tego powodu gwałtowne ataki na kierownictwo B.B.C., — radjo angielskie nie odstępuje ani na krok od wytkniętej linji. A że metoda ta jest dobra, — dowodzi stały i ogromny wzrost radjosłuchaczy, wyrażający się w ostatnich trzech latach przybytkiem miljona abonentów corocznie.

(Lucy)



Imponujący gmach B. B. C. w Londynie

Gdzie niegdyś stał kolos rodyjski

Położona na wschodnim krańcu Morza Śródziemnego wyspa Rhodos (Rodi) przyciąga z daleka wzrok turysty swą niezrównaną panoramą. Niedarmo nazwę jej wywodzą helleniści od greckiego „rhodon" (róża), lub też od nimfy „Rhodes" córki Neptuna i Halu. Wyspa to słońca i kwiatów. A równocześnie jedno z tych miejsc, z których odcyfrować można historję kultury i cywilizacji ludzkości. Miejsce ścierania się Zachodu ze Wschodem.



Ogólny widok Rhodos z portem S. Nicola.

Przechodziła ona rozmaite, zmienne koleje losów. Zdaniem archeologów pierwsi mieszkańcy tej wyspy przybyli na nią z Krety, ustępując wkrótce miejsca kolonistom fenicjańskim. Koło roku 1000 przed Chrystusem wyspa dostaje się pod władzę Greków. Z tego okresu czasu datuje się założenie trzech miast: Lindos, Ialyssos i Kamiros, o których wzmiankę znajdujemy w Homerze, a które razem z Koos, Knidos i Halikarnasem utworzyły związek, znany w historji pod mianem hexapolis doryckie.

Z biegiem lat Rhodos staje się ważnym ośrodkiem handlowym, politycznym i religijnym, dochodząc do szczytu potęgi. Z tego okresu czasu datuje się też założenie stolicy, nazwanej imieniem wyspy, a to wedle planów Hippodomosa z Miletu.

Złączona losem swym z Grecją, przechodzi wyspa napady Persów i bierze udział w rozlicznych wojnach. Na pamiątkę zwycięskiego odparcia ataków Demetriusa Poliocertesa wystawili mieszkańcy wyspy w roku 305 olbrzymią bronzową statuę, znaną w historji jako „kolos rodyjski", a uchodzącą za jeden z siedmiu cudów świata.

Statua ta, 30-metrowej wysokości, obalona w pół wieku później, padła wreszcie ofiarą Saracenów, którzy w r. 653 uwieźli ostatnie jej szczątki



Charakterystyczne stare wiatraki na Rhodos.

Pod panowaniem Rzymian Rhodos rozwija się dalej, staje się za Djoklecjana stolicą całej prowincji.

Słynny list św. Pawła do Rodyjczyków pozwala zorjentować się co do początków chrześcijaństwa na wyspie.

Skolei dostaje się Rhodos pod władzę Byzancjum, — aż do roku 1308, kiedy to Zakon Rycerzy św. Jana po opuszczeniu Palestyny, zakłada na wyspie swą główną kwaterę, prowadząc przez dwa wieki walkę z niewiernymi.

24 grudnia 1522 Kawalerowie Rodyjscy zmuszeni kapitulować, opuszczają wyspę, by wkrótce potem osiedlić się na Malcie.

Rhodos przechodzi pod panowanie tureckie, pod którem pozostaje do roku 1912. Oddany, wraz z wyspami „Dodekanezu", Włochom jako „zastaw", zostaje im definitywnie przyznany traktatem w Lozannie z dnia 24 lipca 1923 (ratyfikowanym 6 sierpnia 1924).

* * *

Dziesięciolecie przejścia tych wysp pod władzę swoją święciły Włochy bardzo uroczyście. Z usprawiedliwioną dumą mogą też spoglądać na owoce swej dziesięcioletniej pracy. Wzniesiono cały szereg wspaniałych gmachów; rozbudowano doskonałą sieć wygodnych dróg i gościńców; uporządkowano administrację i stosunki bezpieczeństwa. Dzięki tolerancyjnej, a rozsądnej polityce rządu włoskiego zniknęły odwieczne waśnie i zatarły się różnice społeczne, religijne i narodowe między czterema narodowościami, zamieszkującemi wyspę (Włosi, Grecy, Turcy i Żydzi).

Rząd włoski podjął też na wielką skalę pracę archeologiczne, a liczne i wspaniałe wykopaliska z epoki greckiej i rzymskiej stanowią prawdziwą ozdobę miejscowego muzeum, mieszczącego się w dawnym gmachu szpitalnym Kawalerów Maltańskich.

Posiada też Rhodos wszelkie dane, by ściągać do siebie rzesze międzynarodowych turystów. Przedewszystkiem cudowne, malownicze położenie i łagodny, niezbyt gorący klimat. Wspomnienia zamierzchłej, świetnej przeszłości spotyka się na każdym kroku: charakterystyczne wąskie uliczki, tchnące tajemniczym Wschodem, potężne bastiony i mury fortecy, z której ongi Kawalerowie Rodyjscy odpierali ataki wroga, oryginalne kamienne wiatraki, dziś nieczynne, częściowo w ruinie, używane niegdyś do pompowania wody źródlanej, i wreszcie barwne tłumy ludności, pstrej mieszaniny typów orjentalnych i południowo-europejskich.

A między bujną zielenią parku, u stóp starożytnego rzymskiego akweduktu szemrze małe źródełko: kto się raz z niego wody napije, ten musi powrócić na Rhodos, mówi podanie. Więc, miły czytelniku, jeśli znajdziesz się kiedy na Rhodos, nie zapomnij napić się wody z tego źródełka!...

(kr.)

Żydzi o swoich celach i zadaniach

Ukazała się w druku bardzo ciekawa książka. Jest to Zbigniewa Krasnowskiego „Światowa Polityka Żydowska"" wydana nakładem spółdz. Patria w Warszawie w roku 1934.

Autor zadał sobie benedyktyński trud ułożenia w jedną logiczną całość „około trzystu wyciągów z dzieł, odczytów, przemówień, rozpraw i wynurzeń najwybitniejszych działaczów żydowskich doby obecnej, oraz z doniesień żydowskiej prasy politycznej. A wszystko z dokładnem wskazaniem źródeł i dat".

Z tych to wycinków z pisanego słowa żydowskiego poznajemy właściwe cele Żydów, ich prawdziwe ustosunkowanie się do wszystkiego co nie żydowskie. Poznajemy także drogi i metody, które zamierzają Żydzi stosować i które dotychczas stosują w walce z narodami, mającemi służyć żydowskim interesom.

Książka ta ma przytem jedną dużą, zaletę: **ze strony żydowskiej nie może ona spotkać się z zaprzeczeniem.** Autor bowiem swoją rolę ograniczył świadomie do rozumowego uporządkowania dokumentarnych żydowskich oświadczeń i wynurzeń, które choćby dlatego są dla **Żydów niezbite, iż przez samych Żydów zostały wygłoszone.**

Przytoczymy tu kilka fragmentów z tej niepospolitej książki, którą tylko przez cytowanie najlepiej zrecenzować można.

PRZYWILEJE ŻYDOWSKIE

Aby zrozumieć, co Żydzi mają na myśli pod nazwą tzw. równouprawnienia gospodarczego, trzeba wniknąć w istotę tego stanu prawnego, z którego żydostwo w dobie obecnej korzystą w obcych krajach. Jako naród rozproszony, a więc niesamowystarczalny, nie może żydostwo dać narodom rdzennym — gdyby nawet chciało równoważnika tych wszystkich praw, z których w tych krajach korzysta; brak mu ku temu odpowiednich warunków, a przedewszystkiem warunku terytorjalności. — Czyż może dać innym narodom równoważnik praw do ziemi, na której mieszka i którą w tej lub innej formie eksploatuje? Gdzie narody rdzenne mogą uzyskać równoważnik tych korzyści, które żydostwo czerpie w ich krajach z handlu, rzemiosła, przemysłu itd.?

Te „prawa żydowskie" — są to jednostronne obowiązki narodów rdzennych wobec żydostwa.

„Prawa" żydowskie, jako prawa jednostronne, stanowią więc przywilej żydostwa, narzucony narodom rdzennym w ich krajach ojczystych przy pomocy tzw. czynników pomocniczych działających w łonie narodów rdzennych i kierowanych przez Żydów.

Dr. Jehojszue Thon (z Krakowa), wskazując, że tylko pracowici Żydzi mogą być i powinni być dopuszczeni do Erec Izrael (Palestyna), m. in. pisał („Hajnt" z 20. I. 1933):

„Przypominam sobie „dowcip", słyszany przezemnie, który tu pozwalam sobie przytoczyć, mianowicie, jak to dwaj Żydzi — nafciarze jadą sobie w wygodnym powozie i widzą na drodze gojów, tłukących kamienie. Jeden z nich mówi do drugiego: patrz, tak długo, jak jesteśmy w diasporze (poza Palestyną — przyp. Red.), **jeździmy powozem, a oni tłuką kamienie**, natomiast, gdy my znajdziemy się w Erec Izrael, **będziemy tłukli kamienie, a oni będą u siebie jeździli powozami...** Otóż ten „wesoły" dowcip można słyszeć bardzo często wśród Żydów tzw. brzuchaczy, gdy oni trawią dobry obiad, palą dobre cygara hawajskie z pozostającym popiołem koloru wody morskiej, ujęte w złotą opaskę".

Dowcip ten pochodzący od samych Żydów określa w formie żartobliwej ten stan prawny, w którym Żydzi żyją obecnie w krajach rozproszenia.

Gdyby było inaczej, czy Żydzi nie staraliby się już dawno urzeczywistnić swój rzekomy ideał osiedlenia się w swoim kraju historycznym?

Tymczasem z jego urzeczywistnieniem nie spieszą się nawet oficjalni sjoniści.

Wskazując na tułactwo, jako na jedną z głównych cech żydowskich, dr. Jehojszue Thon w listopadzie 1931 r. m. in. pisał:

„my wciąż tułamy się nawet pod względem duchowym. Nasz „cel ostateczny" jest prawie tak daleki, jak sjonistyczny cel ostateczny. Myśmy nie ustalili żadnego terminu. Pragniemy iść aż „do świata przyszłości", „do czasów Mesjasza", a **te daty nie są wszak określone w żadnym kalendarzu".**

ŻYDZI JAKO PACYFIŚCI

W listopadzie 1916 r., Henry Ford, znany przemysłowiec i miljarder amerykański pochodzenia aryjskiego, sfinansował, jak wiadomo, wyprawę pokojową ze Stanów Zjednoczonych A. P. do Skandynawji, jako na teren państw neutralnych, w celu wzmożenia za ich pośrednictwem akcji zakończenia wojny światowej.

Wyprawę tę Henry Ford wszczął pod wpływem pani Roziki Schwimer, żydówki, komunistki.

„Inicjatorką tej wyprawy pokojowej — jak mówił w swoim wywiadzie w Warszawie w kwietniu 1927 r., Herman Bernstein, redaktor „Jewish Tribune" (N. J.) — była żydówka z Węgier, która później, podczas rządu bolszewickiego Beli Kuhna, była węgierskim ambasadorem w Wiedniu. Ona przybyła do Ameryki agitować o prawo dla kobiet i o pacyfizm." (Hajnt z 13. 4. 1927).

Na terenie Stanów Zjednoczonych A. P.... „pacyfizm", na terenie Węgier — komunizm.

A w jaką treść przyoblekły się rządy na Węgrzech w 1919 roku, kiedyto rozpoczął się okres komunizmu i kiedyto na czele stał Bela Kuhn — żyd reprezentujący zapewne te same idee, co i jego ambasadorzy, a w ich liczbie... pacyfistka Rozika Schwimer? Wszak był to okres władzy komunistów — „pacyfistów"... Pamiętajmy wszyscy, **że były to w całym tych słów znaczeniu rządy krwawe.**

ŻYDZI CIĄGNĄ KORZYŚCI Z REWOLUCYJ

Przewroty i zamieszki wśród narodów rdzennych sprzyjają bogaceniu się finansjery żydowskiej.

„Legendarny wzrost Rotschildów — pisał w 1928 roku w „Hajncie" z 3. 2. A. S. Lirik — stale zajmował fantazję nietylko prostego ludu, lecz również ludzi ducha i jest rzeczą charakterystyczną, że również wielki poeta Göthe sam urodzony we Frankfurcie, częstokroć sam zastanawiał się nad Rothschildami i uważał ich za zjawiska fenomenalne...

Potem, jak Rotschildowie nagromadzili swoje pieniądze przez wojny i przewroty, cała ich energja w 30-tych i 40-tych latach XIX-go stulecia była głównie skierowana na to, aby przez swój wpływ i władzę usunąć wszelką możliwość nowej wojny, która musiałaby narazić na niebezpieczeństwo cały ich majątek. W tym kierunku Rotschildowie również okazali się mędrcami...

Tymczasem w Paryżu wybuchła rewolucja lipcowa — powstanie przeciw Bourbonom, 26 lipca 1830 r. — i braci Salomona i Jamesa Rotschildów, którzy podówczas zamieszkiwali w Paryżu, ogarnął duży lęk gdyż byli poprzednio ściśle związani z królem i z rządem i drżeli o swoje życie i majątek. Jednocześnie jednak trzeci brat, Natan, **przez rewolucję dobrze zarobił, gdyż dzięki swojej świetnie zorganizowanej służbie informacyjnej z wieloma własnymi okrętami i własnymi kurjerami wiedział o wybuchu rewolucji nawet o 12 godzin wcześniej, niż rząd angielski, i oczywiście dobrze to wyzyskał na giełdzie.** Rewolucja lipcowa okazała się czysto mieszczańską, obcego majątku nie tknięto i lęk Rothschildów był bezpodstawny".

Okazuje się zatem z wywodów A. S. Lirika, że bogactwo rodziny Rothschildów do okresu rewolucji lipcowej 1830 roku powstało „przez wojny i przewroty".

A w wyniku rewolucji lipcowej?

Natan Rothshild w Londynie przez tę rewolucję „dobrze zarobił" i to bez żadnego lęku...

James i Salomon Rothschildowie w Paryżu również nie stracili, jakkolwiek mieli być, jakoby, przejęci lękiem.

Zdaje się jednak, że z punktu widzenia narodów rdzennych jest obojętne, **czy jakiś bankier zbija fundusze na rewolucji bez lęku, czy jego rodzina nie traci na tejże rewolucji, a więc również zarabia, chociaż ma lęk.**

Ciekawe jednak jest właśnie, że Natan Rothschild w Londynie wiedział o tym wybuchu „gniewu ludu" na 12 godzin, zanim o tem dowiedział się rząd angielski, który wszak również, jak każdy rząd, musiał mieć w interesie swego państwa należyty wywiad. Okazuje się jednak, że rodzina Rothschildów pobiła rekord.

Panowie Jakób Schiff, Rothschildowie i t. p. wiedzą zawsze **wcześniej o wybuchach rewolucyjnych od rządów poszczególnych państw.**

ŻYDZI JAKO „BOHATEROWIE" AMERYKAŃSCY

Finansjera żydowska popierała także akcję oderwania kolonji amerykańskich od macierzy angielskiej, t. zw. „rewolucję" amerykańską.

„Według ostatnich wiadomości — pisał „Hajnt" w dniu 9. VIII. 1927 r. — komisja municypalna w Nowym Yorku odmówiła zatwierdzenia pomnika, który miał stanąć w „Madison Square park" ku czci patrjoty żydowskiego, Chaima Salomona, który pomógł finansować rewolucję amerykańską.

Salomon poparł rewolucję amerykańską setkami tysiecy dolarów i nigdy nie otrzymał z powrotem ani jednego centa".

ŻYDZI MIĘDZY SOBĄ

Emil Vandervelde, żyd — jeden z oficjalnych przewódców rdzennych warstw robotniczych na terenie Belgji, — po powrocie z Erec Izrael, miał szereg referatów agitacyjnych na rzecz odbudowy Erec Izrael. 28 maja 1926 r. wygłosił jeden z takich referatów w Paryżu. Po opisie bankietu, urządzonego na jego cześć z tego powodu przez miejscowy oddział „Poale Syjon", warszawski „Hajnt" (3. VI 1928 r.), za żargonówką w Paryżu — „Parizer Hajnt", podał w końcu taką informację:

„23 maja (1928 r.) **Emil Vandervelde został zaproszony do stołu barona Edmunda Rothschilda".**

Towarzysz, jeden z wodzów II-giej międzynarodówki przy stole barona Rothschilda, przedstawiciela najpotężniejszego odłamu finansjery żydowskiej.

MIŁOŚĆ A REWOLUCJA U ŻYDÓW

Dążenia do przewrotu u narodów rdzennych jest tak głębokie w świadomości żydowskiej, że nawet w ekstazie miłosnej świadomość ta nie opuszcza Żydów.

W dniu 3 października 1927 r. w Sądzie Okręgowym w Łodzi odbył się proces komunistyczny.

Na procesie, wśród innych dowodów winy, znalazły się listy miłosne, w których oskarżony, Icchok Blumenkranz, pisząc do swej narzeczonej, Estery Sonnenberg, również oskarżonej, w ten sposób wyrażał jej swoje uczucia:

„Kocham cię, jak władzę sowiecką, pałam do ciebie miłością, jak do rewolucji społecznej" („Hajnt" z 4. 10. 1927).

Każdego prawowiernego Żyda ożywiają podobne uczucia. W każdej zasłużonej, żydowskiej rodzinie znajdują się wyraziciele takich poglądów i takich uczuć wobec rewolucji.

ŻYDZI SJONIŚCI, A ŻYDZI REWOLUCJONIŚCI

Apfelbaum „Zinowjew", wywarł decydujący wpływ na rozwój akcji komunistycznej na terenie Rosji, dzięki swym pracom teoretycznym nad uzasadnieniem idei komunizmu i metodami jego propagandy.

A co robiła siostra „Komisarza" „Zinowjewa"?

„Zasługuje również na wzmiankę, — pisał w marcu 1929 korespondent „Hajnta" z Palestyny — że kiedy rząd sowiecki kilka lat temu aresztował swego drugiego słynnego „żydowskiego" wodza Zinowjewa, wówczas była również wieść, że Zinowjew przybywa do Erec Izrael, aby się tutaj osiedlić. Zinowjew ma tutaj siostrę i szwagra, dobrych kolonistów w Erec - Izrael".

Brat — „rewolucjonista", a siostra — „dobra kolonistka", a więc dobra „sjonistka".

„Dzisiaj w tutejszym sądzie — podał „Hajnt" informację telefoniczną z Łodzi z dnia 24 września 1929 r. — rozpoczął się proces przeciw synowi posła Icchoka Grinbauma, który jest oskarżony o komunizm. Jako obrońca występuje poseł adwokat Hartglas".

„W procesie syna posła Grinbauma — podał tenże organ informację dnia następnego — dzisiaj o godzinie 11-ej m. 45 ogłoszono wyrok, mocą którego został on zasądzony na półtora roku więzienia".

Sąd Apelacyjny w Warszawie na posiedzeniu w dniu 29 marca 1930 r. karę za to przestępstwo **Benjaminowi Grinbaumowi podwyższył do lat czterech.**

Ojciec — wybitny wódz sjonistów w zakresie światowym, b. prezes „Koła żydowskiego" w sejmie polskim, syn — komunista...

PIEŚŃ ZEMSTY

Przytoczę jeszcze pieśń zemsty starego rabina Akiby, która od tysięcy lat — jak stwierdza historyk żydowski dr. Majer Bałaban — rok rocznie na Wielkanoc w „święto wiosny" każdy ojciec rodziny żydowskiej śpiewa w jej otoczeniu przy drzwiach otwartych, ale tak, aby go nikt z pośród nieżydów nie słyszał... („Nasz Przegląd" z dnia 18. 4. 1934 r.)

„Wylej, Panie, swój gniew na narody, które Cię nie poznały i na królestwa, które imienia Twego nie wzywają, bo pożarli Jakóba i świętości jego zbezcześcili wylej na nich swój gniew i zniszcz je do szczętu pod Twoimi niebiosami".

* * *

Zbigniew Krasnowski poważnie się zasłużył społeczeństwu polskiemu przez opracowanie, a Tow. Patria przez wydanie „Światowej Polityki Żydowskiej". Powinna ona się znaleźć w bibliotece każdego inteligentnego Polaka, interesującego się kwestjami społecznemi.

M. E. R.

Z wizytą w zoologu poznańskim

Większość osób przybywających do Poznania, względnie zatrzymujących się w przejeździe w tem schludnem i na szczęście, dzisiaj jeszcze nagół wolnem od żydów mieście, (zjawisko w Polsce niezwykle rzadkie), nie odmawia sobie przyjemności odwiedzenia chluby Poznania, pięknego ogrodu zoologicznego. Nic dziwnego, ogród jest ciezwykle ciekawy, a przechadzka po nim pouczająca, i co również nie jest bez znaczenie, znajduje się zaledwie kilka minut drogi od dworca kolejowego.

Sam ogród zajmuje powierzchnię około 5 hektarów. Zaraz po przekroczeniu jego bramy, zwraca uwagę zwiedzającego wielka żelazna klatka, kształtu kopuły, pełna ptactwa. Wymiary jej są imponujące: długość metrów 22, szerokość m. 20, wysokość m. 14. Jest ona jedną z ozdób ogrodu. Olbrzymia ta klatka rozpięta jest nad wiejską chatką, pokrytą słomą, stojącą w cieniu drzew i otoczeniu krzewów. Obok chatki rozciąga się sztuczne bagienko, do którego wpływa woda dwoma krętemi strumyczkami, tryskającemi z małej skałki. Wśród takiej scenerji, mającej jak najbardziej przypominać warunki naturalne, żyją w harmonijnej zgodzie poczciwe nasze boćki białe i czarne, wielkodzióbe pelikany, slepowrony, siwe i białe czaple, srebrzyste mewy, smutne żórawie, czerwone ibisy, karmiące według wierzeń Egipcjan, własną krwią pisklęta i wielu innych przedstawicieli ptasiego społeczeństwa z nad naszych bagien i jezior, z nad mokradeł Amazonki i innych mniej lub więcej egzotycznych okolic globu.

Na prawo od „ptasiego raju", a na wprost od wejścia do zwierzyńca, wyglądają z za ogrodzeń ku zwiedzającym zwierzęta zaliczane przez przyrodników do jeleniowatych. Smukłe, zgrabne daniele i jelenie, indyjskie jelenie aksis, sarenki.

Opodal nich wznosi się pawilon małych drapieżców i gryzoni, reprezentowanych przez hijeny centkowane i prążkowane, niedźwiedzie malajskie, ostronosy, szopy, borsuki, rysie, łasice, kuny i t. d.

Niemal każdy zatrzymuje się dłużej przed basenem lwów morskich, by podziwiać wieczną ruchliwość i niezwykłą zwinność tych mieszkańców okolic podbiegunowych.

W zagrodach dla bydła rogatego, na czoło wybijają się żubry, które jak wiadomo, są największemi zwierzętami europejskiemi. Wysokie 1 m. 80 cm., długie 3 i pół metra, ważą około 750 kg.; zamieszkiwały one niegdyś lasy całej środkowej Europy. Dziś są na wymarciu, z ciekawością się je przeto ogląda. Z żubrem spokrewniony jest i podobny do niego, bizon amerykański.

Największym zwierzętom lądowym, słoniom, zbudowano osobny pawilon w stylu indyjskim. Słoń jest stworzeniem roztropnem. Maleńkiemi oczkami bacznie obserwuje zwiedzających. Gdy ujrzy dzieci, zbliża się do balustrady i wyciąga ku nim trąbę, uporczywie domagając się okupu. I zazwyczaj nie myli się. Dzieci chętnie karmią go różnego rodzaju smakołykami.

Sąsiadami słonia są antylopy, kangury, osiołki i pasiaste kucyki-zebry.

W jednej z dalszych zagród zamknięte są wielbłądy, kozy owce, dzikie świnie. Naprzeciw nich białe i brunatne niedźwiedzie. A dalej domek małp, wzbu- śmiechu u dzieci, wrzawą, zgiełkiem i dzających swem zachowaniem salwy tęczą barw wypełniona chatka papug. Pawilon lwów, tygrysów i innych wielkich drapieżników, dwa sztuczne stawy, dla ptactwa wodnego, piękne alpinarjum, sztuczna skała dla przedstawicieli fauny wysokogórskiej i wiele innych urządzeń, pełnych niespotykanych u nas zwierząt, które trudno wymienić w krótkim artykule.

Ogólne wrażenie dodatnie. Zwierzęta, szkoda, że nie wszystkie, mają naogół dosyć swobody. Czują się nieźle, czego dowodem mnożenie się. To też ogród ma, między innemi, własnego chowu lamparty i urodzone w zwierzyńcu wilki. Ogółem ogród zoologiczny w Poznaniu posiada około 1 tysiąc okazów, należących do około 250 gatunków. Jest więc największym ogrodem zoologicznym w Polsce. Odwiedza go rocznie niespełna 300 tysięcy osób.

Ciekawa jest historja powstania tej instytucji. Zawiązek ogrodu przypada na rok 1870 i jest wynikiem oryginalnego pomysłu grona obywateli poznańskich. Kilku z nich chcąc uczcić jednego ze swych przyjaciół, postanowiło zakupić szereg możliwie różnych zwierząt i obdarować niemi solenizanta w dniu imienin. Istotnie projektodawcom udało się zgromadzić na oznaczony dzień kilkanaście okazów, częściowo dzikich, częściowo oswojonych, które następnie umieszczono w ogrodzie, zajmowanym dziś przez ogród zoologiczny. Opiekę nad tą osobliwą wówczas kolekcją powierzono mieszczącemu się tam wtedy związkowi wojaków. Niezwykły żart, prawdopodobnie nie przemyślany przez samych projektodawców, a może nie brany przez nich poważnie, miał niewątpliwie swoje głębsze źródło. W połowie bowiem ub. wieku przypada czas założenia w zachodniej Europie szeregu ogrodów zoologicznych. Pomysł kilku obywateli poznańskich okazał się w skutkach bardzo szczęśliwy, dał bowiem początek instytucji o wielkiej użyteczności publicznej, która w roku przyszłym obchodzić będzie 60-tą rocznicę swego istnienia. Nikły początkowo zawiązek ogrodu zoologicznego w Poznaniu, zasilany darami obywateli tego miasta i okolicy, coraz bardziej wzrastał. Ponieważ ofiarna pomoc jednostek już po upływie lat kilku nie mogła nastarczyć potrzebom jakie wykazywał zwierzyniec, podjęto więc starania w kierunku utworzenia osobnego towarzystwa pod nazwą „Ogród Zoologiczny". Towarzystwo to powstało w roku 1875. Data ta jest więc datą powstania poznańskiego ogrodu zoologicznego w całem tego słowa znaczeniu.

W roku 1881 został członkiem towarzystwa, a niebawem stanął na jego czele, kupiec poznański i radca miejski Robert Jaeckel. Piastując tę godność nieprzerwanie aż do śmierci (1907 r.) stał się przez rozbudowanie i powiększenie ogrodu jego reorganizatorem i właściwym twórcą. Dzielnie pomagali mu w tem dziele sekretarz towarzystwa nauczyciel Stanisław Zieliński i radca dr. Lewiński. Przedewszystkiem po licznych staraniach udało się im nabyć teren na którym znajduje się ogród na własność. Obszar ten odpowiednio urządzono. Część zamieniono na park, resztę oddano pod właściwy zwierzyniec. W tej to części pobudowano w miejsce dawnych prymitywnych klatek dla zwierząt odpowiedniejsze nowe pomieszczenia, z całym szeregiem stosownych urządzeń. Pokopano stawy dla ptactwa wodnego i błotnego, wzniesiono rodzaj alpinarjum dla zwierząt wysokogórskich, wymurowano specjalną małpiarnię i grotę a obok niej w sztucznej dolinie górskiej urządzono obszerną klatkę dla ptactwa drapieżnego. Zwolna wzrastający ogród zoologiczny stał się z czasem poważnym czynnikiem społecznym i naukowym. Do największego rozkwitu doszedł on tuż przed wojną światową. W tym czasie „Towarzystwo ogród zoologiczny" liczyło 2100 członków posiadało w zwierzyńcu 696 okazów w 342 gatunkach, zaś zwiedzających ogród było w tym roku przeszło 160 tysięcy osób.

Szybki wzrost instytucji zmusił „Towarzystwo ogród zoologiczny" do zmiany dotychczasowych podstaw istnienia. Wszczęto wówczas pertraktacje z zarządem miasta i w dniu 1 stycznia 1912 roku ogród zologiczny stał się wraz z całym inwentarzem żywym i martwym własnością gminy miasta Poznania.

Wojna światowa odbiła się fatalnie na ogrodzie. Frekwencja zwiedzających zmalała, głód, choroby i brak opieki nad zwierzętami okropne poczyniły spustoszenia. Klatki stały pustką, a brak funduszów uniemożliwiał uzupełnienie strat. Doszło wreszcie do tego, że z początkiem roku 1919 było zaledwie 243 zwierząt w 75 gatunkach. W tak opłakanym stanie objęło w posiadanie ogród zoologiczny po ustąpieniu Niemców społeczeństwo polskie. Nowy zarząd złożony już wyłącznie z Polaków zabrał się ochoczo do pracy. Usiłowania zarządu poparło w całej pełni miasto. Ogród szybko powracał do dawnego stanu. Z biegiem czasu wyposażono go w szereg nowych urządzeń których dawniej nie miał. Dzisiaj poznański ogród zoologiczny stoi na pierwszem miejscu w Polsce. Wprawdzie jego pierwszeństwu zagraża coraz bardziej zoolog warszawski. Konkurencja to nie zupełnie groźna. Możliwe bowiem że zoolog warszawski będzie niedługo posiadaczem większej liczby okazów niż zoolog poznański braknie mu jednak pięknej tradycji, której posiadaczką jest instytucja poznańska.

AK.

„Anemja górników" i jej sprawca

W roku 1802 lekarz francuski Hallé zwrócił uwagę na częste wypadki specjalnej anemji, występującej szczególnie u górników, zajętych w kopalniach węgla.

Podobne wypadki zaobserwowano i w innych miejscach, wypadki w przebiegu swym tak charakterystyczne, że wkrótce wprowadzono specjalne określenie tej zagadkowej choroby jako „anemji górników". Jakie było jej podłoże, jakie czynniki wywołujące tę chorobę, — tego nikt stwierdzić nie zdołał.

Pewne światło rzuciło na to dopiero dokonane w roku 1836 przez lekarza włoskiego Dubini'ego odkrycie we wnętrznościach kobiety, zmarłej na zapalenie płuc w szpitalu medjolańskim, nieznanego dotychczas pasożyta, nazwanego przez Dubini'ego „Ankylostoma duodenale". Świat lekarski zainteresował się tem odkryciem — i oto wkrótce stwierdzono istnienie tego pasożyta w rozmaitych krajach posiadających klimat ciepły lub gorący: w Egipcie, Brazylji, Ameryce południowej i środkowej. Znajdowano go przy sekcjach zwłok ludzi, zmarłych na złośliwą anemję.

Szczegółowe dane o trybie życia tego drobnego robaka i jego związku z powstawaniem anemji opublikował dr. Perroncito w roku 1880. Materjał kliniczny czerpał z licznych wypadków złośliwej anemji, szerzącej prawdziwe spustoszenie wśród górników pracujących przy budowie tunelu św. Gotharda.

Od tego czasu mnożą się obserwacje kliniczne: „ankylostoma duodenale" został zidentyfikowany jako sprawca owej „anemji górników", którą najwybitniejsi hygieniści określili jako nową, wcale poważną „chorobę społeczną".

Jakież są objawy tej choroby? Zaczyna się ona bólami żołądkowemi, zawrotami głowy, ogólnem osłabieniem i utrudnieniami przy oddechaniu. W miarę postępu choroby pacjent staje się zupełnie apatyczny, niezdolny do pracy; skóra i błony śluzowe bledną coraz więcej, — jednem słowem typowy obraz kliniczny anemji. A co najważniejsze: krew pacjenta, badana pod mikroskopem, wykazuje znaczne zmniejszenie się ilości czerwonych ciałek krwi, dochodzące do dwóch miljonów ciałek w milimetrze kubicznym, zamiast normalnych pięciu miljonów.

Choroba ta ma w krajach europejskich przebieg stosunkowo łagodny; natomiast w krajach tropikalnych nierzadko kończy się śmiertelnym wynikiem skutkiem osłabienia serca.

A sprawcą jej jest „Ankylostoma duodenale", robaczek długości zaledwie 1 centimetra. Z chwilą, gdy dostanie się on do przewodu pokarmowego człowieka, usadawia się na błonie śluzowej, którą nadgryza, czerpiąc z niej pożywienie. Robaczek ten posiada specjalny gruczoł, którego wydzielina dostaje się do krwi ludzkiej, a dzięki swemu specjalnemu składowi uniemożliwia krzepnięcie krwi. Stąd powstaje anemja, wywołana nieprzerwanym upływem krwi i zmianami w niej zachodzącemi.

„Ankylostoma duodenale" składa tysiące jajek, które jednak dla dalszego rozwoju potrzebują specjalnych warunków: temperatury wilgotnej i ciepłej. w granicach 25—28 st. Kiedy na takie warunki natrafia, z jajek lęgną się larwy. Larwy te, osłonięte twardą błoną (cystą) żyją długo życiem utajonem, dopóki nie dostaną się do organizmu człowieka, czyto przez przewód pokarmowy, czy nawet przez skórę. W tym ostatnim wypadku — jak to stwierdziły niezbicie badania profesora Loossa w Kairo, pasożyt odbywa długą wędrówkę okólną: drogą naczyń krwionośnych dostaje się do serca, skąd wraz z obiegiem krwi wędruje do tchawicy i gardła, by wreszcie przez przewód pokarmowy dostać się do jelit, do owej dwunastnicy, gdzie rozpoczyna swą destruktywną działalność.

Istnienie „Ankylostoma duodenale" stwierdzono wszędzie. Na szczęście, nie wszędzie napotyka on na korzystne warunki do rozwoju i tem się też tłómaczy niewielka stosunkowo ilość wypadków „anemji górników" w krajach umiarkowanych, o suchym lub ostrym klimacie. Natomiast rozwija się on szybko i masowo w miejscach ciepłych i stale wilgotnych, jak tunele, kopalnie węgla, siarki itp.

Dlatego warto zwrócić uwagę na ową, mało u nas znaną i obserwowaną chorobę, tzw. „anemję górników", której wypadki zdarzać się mogą w kopalniach węgla, a której sprawcą jest niepozorny robaczek, wielkości zaledwie jednego centimetra.

(kr.)

Aforyzmy o modzie

Dziwnie jest z tą elegancją. Od kiedy niemodny jest zbytek w strojach, można go tanio mieć. Drogie są natomiast skromne ubiory. Prawidła dzisiejszej elegancji to: wydawać się niecom nieporządną — będą przytem w wyrafinowany sposób wypielęgnowaną; najlepsze materjały, po wyjściu z rąk najlepszych krawców, nosić z niedbałością; wyglądać tak, jak gdyby się nie miało najlżejszego wyobrażenia o tem, co się nosi na sobie. Elegancja powinna być jednocześnie przypadkowa i wrodzona. Dlatego zbyt dobrze leżące rzeczy nigdy nie są w dobrym tonie. Rzuca się odrazu w oczy ich pracowite wykonanie. Wszystko musi tak wyglądać, jakby było dziełem przypadku, — mimo, że to się przecież nigdy niezdarza i że „przypadkowe" dobranie odpowiedniego szala do sukni było wynikiem wielodniowych poszukiwań.

ŚWIAT KOBIECY

Swoboda letniego sezonu

Sezon letni w pełni. Wszyscy wypoczywają, pustoszeją urzędy i biura. Wyludniają się miasta. Pani domu zajęta przez cały rok pracą w domowem gospodarstwie w ciągłym trudzie i niepokoju o losy rodzinnego ogniska, teraz w lecie ma bodajże największe prawo do wypoczynku.

To też nawet moda, krępująca panie wciągu całego roku, w lecie znacznie pofolgowała, dała znużonym paniom domu zupełną swobodę, wyrugowała wszelkie skrępowanie. Moda letnia jest obecnie bardzo wygodna. Panie mogą się ubierać prawie we wszystko, byle tylko było gustowne.

Rodzaj sukienek zależny jest od pory dnia, na którą zostają przeznaczone. Rano i do sportów noszone są tzw. „petites robes" — małe sukienki. Nazwa ta doskonale je charakteryzuje, gdyż są skromne i proste. Dochodzą do pół łydki, podkreślając i uwydatniając linję biustu i opinając biodra. Jedynem przybraniem „małej sukienki" są guziki drewniane i klips z metalu przy zapięciu; kołnierzyk z płótna lub krawat fantazyjny, albo o wyszukanym kroju pelerynka, dodają jej zalotności.

Sukienki na wieś niewiele się różnią od poprzednich. Ich fason cechuje prostota. Najważniejszy jest wybór materjału: wyłączamy zupełnie tkaniny powiewne i zbyt wzorzyste. Kretony, pika, len, płótna dziurkowane, ażurowe, haftowane, z drobnemi kwiateczkami, czyli wszystko co jest jasne, wesołe, młode i harmonizuje z klombami kwiatów i zielenią ogrodu.

Nad wodą króluje kolor biały. Sukienki plażowe z prostotą łączą wyszukaną fantazyjność, zastępują mniej już modne piżamy plażowe i przyznać trzeba są o wiele praktyczniejsze i odpowiedniejsze dla wielu pań, którym „nie do twarzy" było w spodniach. Robimy je z „toile" lub lnu i nosimy wprost na kostjumie kąpielowym. Komplet taki możemy nazwać „kąpiel i słońce", gdyż dobroczynne promienie słoneczne mają dostęp do ciała po zdjęciu pelerynki, czy bolerka.

Panie, posiadające zgrabne nóżki entuzjazmują się spodeńkami plażowemi. Górę stanowi fantazyjnie wycięty staniczek lub bluzka. Spodenki z białego materjału tego samego kroju co plażowe, ozdobione dużemi kieszeniami, oraz zwykła bluzeczka, luźna i szeroka, mogą być również użyte do tennisa.

—o—

Pierwsze jaskółki jesieni

Jeszcze słońce praży niemiłosiernie, jeszcze natura stroi się pełną krasą różnobarwnego kwiecia, a już magazyny paryskie występują z pierwszą kolekcją modeli jesiennych.

Które z nich zdobędą sobie prawo obywatelstwa, dziś zawcześnie jeszcze o tem mówić. W każdym razie we wszystkich modelach widzi się jedną zasadniczą tendencję do zupełnej zmiany dotychczasowej sylwetki kobiecej.

Precz z szerokiemi, płaskiemi kapeluszami, precz z luźnemi płaszczami trzy czwarte długości! Moda popada obecnie w drugą ostateczność: miejsce luźnych długich płaszczy zajmuje obcisły „tailleur", a jako nakrycie głowy wraca znów do łaski nieśmiertelny... beret!

Ale i ten berecik przechodzi obecnie ewolucję: sporządzony z weluru lub miękiego filcu, bardzo szeroki (niektóre modele mają do 42 ctm. średnicy), przypomina raczej jakąś dużą, płaską czapkę, o fantazyjnie powyginanych i podpiętych brzegach. Z przodu opada oczywiście na oko, z tyłu niekiedy podpięty małem piórkiem.

Agnés daje oryginalny model beretu, opasanego wąską wstążką w ten sposób, że sprawia wrażenie raczej kapelusika z niewielkim rondem.

Descat używa do beretów filcu w dwu kolorach: zielony na wierzchu, czarny spód, osiągając przez tę kombinację bardzo oryginalny efekt.

Obok beretów — mało zgrabne toczki, a nawet i turbany, przybrane piórami egzotycznych ptaków.

Kostjumy „tailleur", zawsze pełne dystynkcji i prostoty, królować będą niepodzielnie. Na chłodniejsze wieczory uzupełnia go długa etola, tak dekoracyjna dla uwydatnienia sylwetki kobiecej.

A na wieczory, koncerty, do teatru „cape". Oryginalną nowością są tutaj krótkie futerka (krety breitschwanze) barwione na kolor ciemno-niebieski.

Twarz o cerze z aksamitu

Podstawą każdego maquillage'u jest krem i puder.

Zależnie od charakteru cery wybiera się krem tłusty, suchy, lub odżywczy. Każdy jednak krem przed użyciem trzeba rozetrzeć w zagłębieniu lewej ręki, dopóki nie stanie się prawie płynny. W ten sposób, nakładając go na twarz, unikamy wszelkiego tarcia. Dobre rozpostarcie kremu na ogromne znaczenie. Jest rzeczą zupełnie zbyteczną nakładanie dużych ilości. Najcieńsza warstewka wystarczy w zupełności, o ile dobrze wnika w skórę, dlatego też staramy się unikać kremów gęstych i ciężkich.

Drugiem stadjum maquillage'u jest nakładanie pudru.

Jeżeli chodzi o wybór pudru, to twierdzimy kategorycznie, że musi być w najlepszym gatunku.

Pierwszą zasadą dobrego pudrowania jest posługiwanie się puszkiem z łabędziego puchu, lub też z delikatnej nieprasowanej waty. Należy pudrować twarz bez wywierania najmniejszego nacisku. Niedościgłem marzeniem byłoby używanie specjalnego rozpylacza, który otula twarz mgiełką pudru bez dotyku puszku.

Twarz równomiernie napudrowana jest bez smug, a cera nabiera matowości aksamitu.

Z szydełkiem w ręku

Moda nakazała powrót do robót ręcznych, czy też konieczność kryzysowa podsunęła myśl uzupełniania garderoby własnemi taniemi, a efektownemi robótkami, dość, że każda prawie z pań jest obowiązana mieć coś szydełkowanego.

Jedną z trudniejszych jest robota rękawiczek, tak noszonych tego lata. Robimy je z cienkiego białego, lub kremowego kordonku, szydełkiem, na drutach, albo sposobem siatkowym.

Najważniejszą częścią ręcznych rękawiczek są ozdobne mankiety. Wykonujemy je albo słupkami i półsłupkami na zmianę, albo robimy siatkę z łańcuszków i pilotek, gwiazdki, rozetki płaskie i pełne, imitujące róże, wrabiane w łańcuszkową siatkę wyglądają ładnie i ozdobnie.

Rękawiczki zwykłe, krótkie jedwabne, lub nawet bawełniane przerabiamy własnoręcznie na modne dodając mankiety szydełkowe, albo z organdyny ciętej w skośne, płaskie falbany. Falban takich może być 2—3. Wykańcza je się rulonikiem. Chcąc dorobić szydełkowe mankiety, należy obciąć rękawiczkę w przegubie, obrobić równo i ściśle półsłupkami. W dalszym ciągu roboty, robimy kilka rzędów półsłupków dla umocnienia koronki, aby nie opadała. Dalszą część mankieta rozszerzamy do ładnego kształtu klosza.

Poradnik dla gosposi

Morele po królewsku

Wymyć ryż w zimnej wodzie, osączyć na sitku, wsypać do rondla z wrzącą wodą, obgotowywać przez 5 minut. Wody powinno być tyle, aby ryż swobodnie w niej pływał. Wylać ryż na sito, przelać kilkakrotnie zimną wodą, osączyć.

Zagotować w rondelku śmietankę lekko ocukrzoną, wsypać ryż, dodać sproszkowanej i osianej przez gęste sitko wanilji, wymieszać. Przykryć, wstawić do pieca. Śmietanki powinno być tyle, aby ryż przykryła.

Ugotowany ryż wystudzić.

Wybrać duże, dorodne połówki suszonych moreli, wymyć, namoczyć na przeciąg kilku godzin w letniej wodzie. Zlać wodę z moreli, dodać tyle cukru, aby syrop był dosyć gęsty, usmażyć w tym syropie morele, uważając, aby się nie rozleciały. Usmażone wyjąć z syropu, ułożyć na sitku, osączyć. Pozostałym syropem rozrzedzić kilka łyżek marmelady morelowej, przygotowanej z suszonych morelek.

Wystudzony ryż uformować, kulając go na porcelanowej deseczce, w dosyć grube wałeczki. Pokrajać w słupki wysokości mniej więcej 5 cm., maczać w rozbitem jajku, skrążać w tartej bułeczce, smażyć na obfitem maśle deserowem na złoty kolor.

Ustawić słupki na okrągłym półmisku, na każdym położyć połówkę smażonej moreli wierzchem do góry, oblać rozgrzaną marmeladą, wydawać natychmiast gorące.



Elegancka sukienka płócienna oraz płaszcz podróżny



Wracamy do mody z przed 30 lat... Oto najmodniejsza suknia z organdi przybrana wolantami.

Oczyszczanie atlasowych pantofli

Pantofle atłasowe myje się ciepłą wodą z dodatkiem octu. Gdy wyschną należy przetrzeć je flanelową szmatką, zamoczoną uprzednio w białku. Potem wcierać mocno miękkiem płótnem. Miejsca zadrapań znikają po zaciągnięciu woskiem do froterowania podłogi.



Trykotowy kostjum kąpielowy.